CENA KOP. 10

TYGODNIK ŁÓDZKIE ILUSTROWANY

ROK I.	ŁÓDŹ, NIEDZIELA, DNIA 31-GO MARCA 1912 ROKU.	№ 3.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: UL. PIOTRKOWSKA № 111, — № Tel. 22-18.

WARUNKI PRENUMERATY: w ŁODZI z odnoszeniem do domu: rocznie rub. 5.—; półrocznie rub. 2 kop. 50; kwartalnie rub. 1 kop. 25.; w KRÓLESTWIE i CESARSTWIE, z przes. poczt.: rocznie rub. 5 kop. 60; półr. rub. 2 kop. 80, kwart. rub. 1 kop. 40; za GRANICĄ, z przes. poczt.: rocznie rub. 6.—; półr. rub. 3.—; kwartalnie rub. 1 kop. 50; w AUSTRJI i GALICJI, z przes. poczt.: rocznie koron 15; półrocznie koron 7 hal. 50; kwartalnie koron 3 hal. 75. — Zmiana adresu kop. 20.



Nie

Darmo

wprawdzie, ale na **nadzwyczajnie dogodnych** warunkach bo na spłaty po 25 lub 50 k. tygodniowo przy minimalnej wpłacie 3—6 rb. postanowiliśmy oddać

200 oryginalnych paryskich

Pathéfonów

model Junor bez płyt wymiaru pudełka 51 x 31 x 15 cm., wagi $16^1/_2$ funta, z tubą 45 cm. wylotu podług obok pomieszczonego rysunku, by nawet namniej zamożnym dać możność nabycia

Na święta — Pathéfonu

które jak wiadomo są rzeczywiście **najlepsze i najpraktyczniejsze**, bo grają bez **igieł**, wieczną kulką szafirową, **czysto, głośno i wyraźnie**, bo przy **Pathéfonach**, które mają solidne i trwałe mechanizmy unika się przykrej i kosztownej zmiany igieł, bo płyty Pathé, dzięki kulce, są prawie nie zgrywalne. **Każdy, kto niechce wyrzucać pieniędzy oknem** nie powinien kupować gramofonów igłowych, lecz tylko Pathéfony—a jeśli nawet już kupił, to winien we własnym interesie przerobić swój gramofon na Pathéfon. **Na składzie** posiadamy duży wybór Pathéfonów z tubami i bez tub w cenie 26.00—200 rubli. **Najbogatszy repertuar** śpiewów polskich, niemieckich, żydowskich i zagraniczn. (Caruso i t.d.) **Najnowsze operetki:** walce, polki, marsze i t.d.

Specjalny skład PATHÉFONÓW
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 117. I-sze piętro.
Reperacje najtaniej i najakuratniej.

- CUKIERNIA E. BARCZ -

DAWNIEJ J. SZMAGIER

ŁÓDŹ, ULICA PIOTRKOWSKA № 28.

Poleca znane ze swej dobroci Mazurki w kilku gatunkach. Torty, babki podolskie petinetowe, parzone, pączowe i t. p. Baumkucheny, serniki jak również cukry deserowe i czekoladki, wielki wybór jajek cukrowych i baranków.

Nagrodzony na wystawie Hygienicznej w Łodzi MEDALEM ZŁOTYM

E. SZYKIER w ŁODZI

ulica Nowomiejska № 13, róg Północnej .·. Telefonu № 806.

Skład główny odstałych win z własnych winnic na Węgrzech - -

CENA KOP. 10

TYGODNIK ŁÓDZKI ILUSTROWANY

ROK I.	ŁÓDŹ, NIEDZIELA, DNIA 31-GO MARCA 1912 ROKU.	№ 3.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: UL. PIOTRKOWSKA № 111. — № Tel. 22-18.



ZIEMIA. FERD. RUSZCZYC.

WYSTAWA OBRAZÓW I FOTOGRAFJI POD NAZWĄ
- „KRAJOBRAZ POLSKI“. -

WYSTAWA „Krajobraz Polski“, ciesząca się dotąd wszędzie zasłużonem powodzeniem, dzięki inicjatywie Łódzkiego Oddziału Tow. Krajoznawczego, zjeżdża do Łodzi i w początkach kwietnia zostanie otwartą.

O kulturalnej misji, jaką spełnia wystawa „Krajobrazu Polskiego“ specjalnie na gruncie łódzkim, dokładnie zdaje sobie sprawę Zarząd towarzystwa krajoznawczego, pisząc w swej odezwie, że na gruncie Łódzkim ma ona specjalne znaczenie: winna uprzystępnić poznanie bliższych i dalszych okolic i zakątków naszego kraju i dać mieszkańcom naszego przesiąkniętego dymem i kurzem grodu, gdzie muzyką jest ogłuszający łoskot kół rozpędowych i ryki syren fabrycznych, wypoczynek; winna być tym jasnym odżywczym promykiem światła, wnoszącym radość w dnie szare, ponure, i rozświetlającym monotonność i codzienność życia w Łodzi.

Z górą półmiljona ludzi, skazanych na spędzania całego a przynajmniej części życia w Łodzi, pędzących życie zdala od piękności przyrody, oddzielonych jak by murem od reszty świata od tych czarów, w jakie tak bogato wyposażeni jesteśmy i jakich dostarcza nam nasza rodzima Ziemia Polska, wreszcie tryb codziennego życia, wszystko to wytworzyło w nas dziwne zobojętnienie na Piękno, opancerzyło nas przeciw uleganiu urokom jakie roztacza „błękit nieba“, „szafir wód“ lub „szmaragdowości zieleni“, falistość wzgórz „pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“.

I tylko zrzadka kiedyś wyrwie się z pośród otoczenia jednostka, jak ten Reymontowski maszynista fabryczny, który przez lat trzydzieści zżył się ze swoją maszyną i jej kołem rozpędowem i wyszedł kiedyś w wiosenne niedzielne popołudnie: „bo coś go niosło“ w te szerokie, równe pola, w tę „dal siną“, na „tą szmaragdową“ ruń wiosenną. I targnęło go coś w piersi, coś chwyciło za serce, jakaś siła kazała lecz na tej szarej, wiosenną odżywczą wilgocią przesiąkniętej ziemi polskiej, by łzami, jak perły czystemi, zrosić tę zapomnianą ziemię.

Całe korowody widm: wspomnień opadły go. Ta wioska z której chłopcem wybiegł w świat szeroki „dla chleba“, strzecha rodzinna, matka biała jak gołąb staruszka, wieszająca skaplerz na szyi, bocian błogosławiący go na drogę klekotem, dźwięk dzwonka „na Anioł Pański“, jękliwie biegnącego w dal, kościołek wiejski, stary proboszcz... cały ten obraz wiosny życia, całe to memento, żeś z tej ziemi powstał, żywiołowo zmusiło go do tego aktu skruchy, do tego uderzenia się w pierś, zatrutą wyziewami i tchnieniami życia fabrycznego, i ten wielki ból, to przylgnięcie do tej rodzimej ziemi, było pokutą za sprzeniewierzenie się Jej — rodzicielce: oto syn marnotrawny wraca na łono matki.

To jeden z pół miljona, może był i drugi, trzeci, nawet setny, — a reszta? To całe szare mrowie ludzkie, ten cały tłum, tworzący wielkie miasto, tłum, który dla chleba oderwany od naturalnych warunków życia, od tej matki przyrody, — czy wyzbył się poczucia piękna? czy nie potrafi reagować na jego przejawy, stanowczo nie! w każdej jednostce z tej wielkiej szarej masy tkwi cząstka tego Reymontowskiego maszynisty czy portjera fabrycznego, mniej lub więcej stłumione, przyduszone balastem życia codziennego, uczucie tkwi tam gdzieś w głębi duszy. A czem głębiej schowane, czem silniej tłumione, tem większą musi być radość w chwili strząsnięcia z siebie tej pleśni, tego popiołu.

Trzeba mu to ułatwić, dopomódz do strząśnięcia z siebie tego brzemienia trosk, oderwać choćby na chwil parę od bezideowo pędzonego życia.

Takie to zadanie podejmuje Tow. krajoznawcze, urządzając wystawę pod nazwą: „Krajobraz polski“. Rękojmią poczucia odpowiedzialności i doniosłości przyjętego na siebie obowiązku jest staranność organizacji i przygotowań komitetu, uwzględnienie specjalnego działu, poświęconego okolicom Łodzi, który ma stanowić dział niemal odrębny, łącznie z łaskawie udzielonymi przez łódzkich miłośników sztuki utworów, będących w ich posiadaniu. Będzie to przegląd bogactw krajobrazowych. zdobiących prywatne salony obywateli łódzkich.

Uprzystępnienie zwiedzania wystawy najszerszym warstwom przez oznaczenie minimalnych cen wstępu, ułatwi znacznie kulturalno-społeczny cel wystawy i da możność ocknięcia się z obojętności i letargu, tym wszystkim, w czyich piersiach tkwi jeszcze choć iskierka zamiłowania do piękna, do kras tej ziemi, z której powstaliśmy, do kraju, z którym związani jesteśmy najsilniejszymi więzami, bo więzami krwi i miłości.

H. S.



Bandytyzm.

WIĘCEJ ŚWIATŁA! rzekł na chwil kilka przed śmiercią Wyspiański.

Słowa te, złotemi głoskami wyryte, winny stać się naszym narodowym emblematem. A gdzież większe mogą one mieć zastosowanie, jak u nas, tu—w grodzie Molocha złota i krańcowej nędzy!? W tem „złem" mieście, gdzie jakby wszystkie ohydy życiowe, rządze zarówno moralne jak i materjalne, wszystko zło, odmęty życia wielkomiejskiego dały sobie niejako rendez-vous! Więcej światła! Oto taran, walący w nasze obumarłe sumienie społeczne!

Jedną z największych plag w fazie porewolucyjnej, trapiącą nasze społeczeństwo, jest t. zw. bandytyzm.

W Łodzi zwłaszcza przybiera on z dniem każdym zatrważające rozmiary. Zgodzimy się wszyscy na to, że społeczeństwo, wśród którego bandytyzm zdołał do tego stopnia wybujać, zdrowem ni silnem być nie może. W interesie więc ogólnego dobra, w imię zdrowego rozwoju sił społecznych, w nakazie obrony zgangrenowanego ducha, myśli i sumienia ogółu, należy podjąć walkę najintensywniejszą z rozwielmożniającem się złem.

Wiemy wszyscy doskonale, iż obecny sposób tępienia bandytyzmu jest co najmniej — połowicznym. Karząca dłoń sprawiedliwości tępi często pojedyńczych osobników. Przyznajemy, że odnośne organa wykonawcze władzy państwowej występują nawet w tych wypadkach ze sporą dozą energji. Ale pytam: czy to jest wystarczającem przeciwdziałaniem? Czy zapobiega w jaki kolwiek sposób rozszerzaniu się bandytyzmu? Absolutnie nie. Organa wykonawcze tępią, że tak powiem, chwasty i zielska, podłoża zaś, z którego te chwasty wyrosły, wytępić nie mogą. Nie jest to wprost w ich mocy. I tutaj powinno społeczeństwo, bez oglądania się na czyjąś pomoc, czynnie i energicznie wystąpić. Zdaję sobie dokładnie sprawę, iż wszelka inicjatywa prywatna, —z powodów ogółowi całemu dobrze znanych,— jest w zarodku już skrępowaną i samodzielniej rozwinąć się nie może. Jednakże i w tych szczupłych ramach może ona i powinna wiele zdziałać.

Jakie czynniki składają się i sprzyjają rozkwitowi bandytyzmu? Gdzie jego źródło? Skąd czerpie soki żywotne? Jakie objawy tej epidemji? Gdzie i w czem należy szukać skutecznego antidotum na tę chorobę?

W każdym centrum przemysłowem gromadzi się większa lub mniejsza masa proletarjatu. Masa ta, — wyzyskiwana w największej części, pozbawiona najelementarniejszych często potrzeb życiowych, — pracująca w opłakanych warunkach, stanowi niejako niewyczerpany rezerwuar, którego odpadki zasilają kadry bandytyzmu. Życie wielkich ognisk przemysłowych, gdzie wiara w pieniądz jest alfą i omegą, produkuje takich odpadków tysiące. Rozpatrzmy grunt, na którym rozwijają się te trujące zielska. Ciemnota, zanik moralnych pojęć, wszechwładztwo alkoholu, nędza, głód, przecież to bajeczni sprzzymierzeńcy! Na cóż się przyda zabicie tego lub owego bandyty, cóż znaczy osadzenie w więzieniu pięciu, dziesięciu, stu osobników, kiedy szeregi bandytyzmu nie rzedną, ale — jakoby pod tchnieniem wiosny — rosną z zatrważającą szybkością!

Wyjdźmy w jasny, słoneczny dzień na oddalone ulice i przedmieścia łódzkie i zobaczmy te gromady wynędzniałych, obdartych dzieci!

Co one wiedzą o życiu i jego ideałach?

Kto ich uczy piękna — miłości — pożytecznych rzemiosł?

W jakiem otoczeniu wzrastają?! A przecież dzieci — to przyszłość i podwalina społeczeństwa! A co ono dla nich robi? Nic — albo niewiele. Sanacya jaknajszersza stosunków fabrycznych, które w obecnym stanie są przeważnie rozsadnikami nieobyczajności i wyzysku,—uzdrowienie i uszlachetnienie wytwórczości ludzkiej pracy, — zakładanie przez miasto i instytucje filantropijne domów pracy — a przedewszystkiem rozszerzanie oświaty, — oto wytyczne znaki samoobrony społecznej. Zapewne potrzeba na to dziesiątek lat — dojrzałości społecznej — wielkiej, szerokie kręgi ogarniającej, — świadomej woli i energji. Tak. Ale czyż cel — jakibyśmy osiągnęli — nie opłacił by stokrotnie naszych trudów? Mówię tu o rzeczach ogólnie znanych. Ale też tem gorzej właśnie, że wiedząc o tem, tak mało robimy. Łódź wydaje przecież tak mało na oświatę! Tak nędznie mało!

Podczas gdy za granicą miasta j. np. Lwów wydaje dwa miljony koron (wyraźnie!) na oświatę, my poświęcamy na ten cel aż 4% ogólnego budżetu! W tej walce najskuteczniejszym sprzymierzeńcem jest oświata. Podnieść oświatę jaknajwyżej — to pierwszy — kardynalny warunek sumienia społecznego. Trzeba iść do tego nieuświadomionego tłumu z miłością w sercu — jak do młodszych biednych braci naszych: leczyć serce — umysł — duszę.

Inaczej dochodzimy do tego, iż bandytyzm miast maleć, wzrasta, jak babka wielkanocna na drożdżach, i że, co gorsza, następuje w ślad za jednym bandytyzm duchowy — gloryfikujący poprzedni aureolą — bohaterstwa!

Więcej światła!

„Ino oni nie chcom chcieć!"

Czyżby doprawdy?

Jan Walewski.

„WIATRÓW ZLOTY“

FRAGMENT.

. . . .

WICHER.

Mówcie!... Mówcie
czego wam brak, co was boli,
na jakiej spocząć chcecie roli,
kędy płynąć, czy w przestworza,
czy nad góry, czy nad morza,
czy nad łamy zbóż ze złota?...
mówcie!

WIATR HALNY.

Mówcie!...

ŚWIST.

Czegoś mi brak, czegoś brak,
jak złamany jestem pień:
gorzki w ustach czuję smak —
zmień me losy, królu, zmień!...

POŚWIST.

Nie widzę słońca ni gwiazd,
wokół mych ócz noc głucha,
i na sercu rośnie chwast —
mych świstów nikt nie słucha.

ŚWIST i POŚWIST (razem).

Czegoś nam brak, czegoś brak,
a wokoło noc głucha
i tak zwodzi pustka, tak —
nie widzim szczęścia ducha...

POWIEW.

Mnie wesoło, Wichrze-Królu,
mnie wesoło!
gdy z młodzieńczą płynę swadą
lilje białe,
trawki małe
kładą mi się, kładą
dróżką...
A ja śpiewam z cudną wróżką —
wiosny pięknej córą hożą —
wśród kwiecistych łąk i pól
śpiewkę bożą,
z dziewką hożą,
nucę śpiew,
boży śpiew...

CHOCHLIK.

Idę w tan!...
patrzy na mnie król i pan,
patrzy na mnie wicher srogi.
Ejże, z drogi!... Idę w tan,
W jakiż tan!...

Brzęczy pas!...
tupię nogą raz po raz,
brzęczą dzwonki na mej głowie!
co król powie?... Brzęczy pas,
śliczny pas!...

Pięknym jest!...
Chociaż w Polsce był mój chrzest,
wolę kraje inne, obce,
uch! hołupce!... pięknym jest,
jakim jest!...

WIATR WIECZORNY.

Ja nie wiem, czy mi wesoło
czy też smutek serce gryzie —
taką pustkę czuję w koło,
że na pogrzebowej trzyzie
nawet nic mię nie zaboli...

. . . .

czemu żary nie podniecą
wiotkich synów samowoli?...
czemu pustkę czuję wszędzie,
zaduch trupów, chwastów zgniłych?...
czemu widzę jako przędzie
ród karzełków nam nie miłych
nitki długie pustych wiosen,
szarych, smutnych?...

Cóż ja zrobię,
że nie umię dziergać krosen,
chociaż nudzę się jak w grobie?...
Ja mam prośbę: słońca Ty daj —
świeć jako długie są roki,
niechaj wiecznie będzie maj,
niech wiecznie spijam soki
z kwiatów...

WIATR HALNY (szmery; ogólne poruszenie).

Skąd te szmery? co za hałas?...

CHOCHLIK.

Spóźniony wiatr widocznie...

(wchodzi wiatr z polskiego ugoru w stroju pacholęcia i staje nieśmiało przed wichrem królem).

WICHER.

Ktoś ty i z jakiego przybywasz kraju
gdzieś błądził, dziwny wędrowcze, tyli czas?
Zakochany w szepcie leśnego ruczaju
Może kołysałeś lilje pełne kras
Albo w dziewiczym żeś hulał gaju,
od wrzasków giął do ziemi stary las
swoje czuby? Może w parowach stale
żeś huczał jako krwiożercze szakale?...

WIATR HALNY.

Skąd żeś ty, skąd żeś ty?
któż cię odział w te szaty
przez jakie idziesz światy?

CHÓR.

Skąd żeś ty? skąd żeś ty?...

WIATR Z POLSKIEGO UGORU.

Z cichych cmentarzy płaczących brzóz
kędy rosły smukłe topole
i kraj promieniał błyskami zórz —
kędy teraz puste jest pole
i smutny uśmiech zatrutych zbóż...

Z głębokich parowów świętych gór,
gdzie rozkosz ducha w ćmie ukryta
głuszyła mój pogwar szumem piór —
teraz cień obcy psalmy czyta
i brzęczy w norze stalowy sznur.

Z dymów wlokących się wokół chat
co ongi ludom wicią były,
a kiedy krzyk skargą duszy padł
i podłe duchy — czarty wyły, —
jam ciało dał, jeno duszę skradł...

Z za mgieł doliny, gdzie grób i grób
i faunów dzikich lud pleni —
tam na kobiercu spoczywa trup
w grze wieczornych gwiazd promieni—
bez zemsty za uniesiony łup.

Z fali jęków kędy bije dzwon
w martwą ciszę prześnionych marzeń.
Wrośniętym w śpiew snem nastąpi skon —
wśród dzbanów z winem i bratnich swarzeń —
Kędy w ciżbę idzie butny ton...

. . . .

Żyłem w cieniu stuletnich dębów
Nieuchwytny istotą treści
Pókim nie poczuł w ciele zębów
hydry. Wstałem... A dąb szeleści,
jak dawniej, wśród sinych mgieł kłębów...

W pielgrzyma szacie górnym lotem,
Dźwiękiem ukrytej zbrojnej surmy
pędziłem i strzałów łoskotem, —
a za mną szły rycerzów hurmy
żywe, a przepadłe zawrotem...

Dziś paciorki strącona duma
przesuwa i po orłów zgonie
z pleśnią bezwstydnie się kuma...
I co zrodzi w zwiędniętym łonie
duch?... Jakaż będzie karłów s u ma?

Zamilknę, choć we mnie ostoja,
we mnie młodym: zbożem szeleszczę—
dzwoni niby stalowa zbroja.
Wasze dusze tym szmerem pieszczę,
choć serce gryzie piosnka moja...

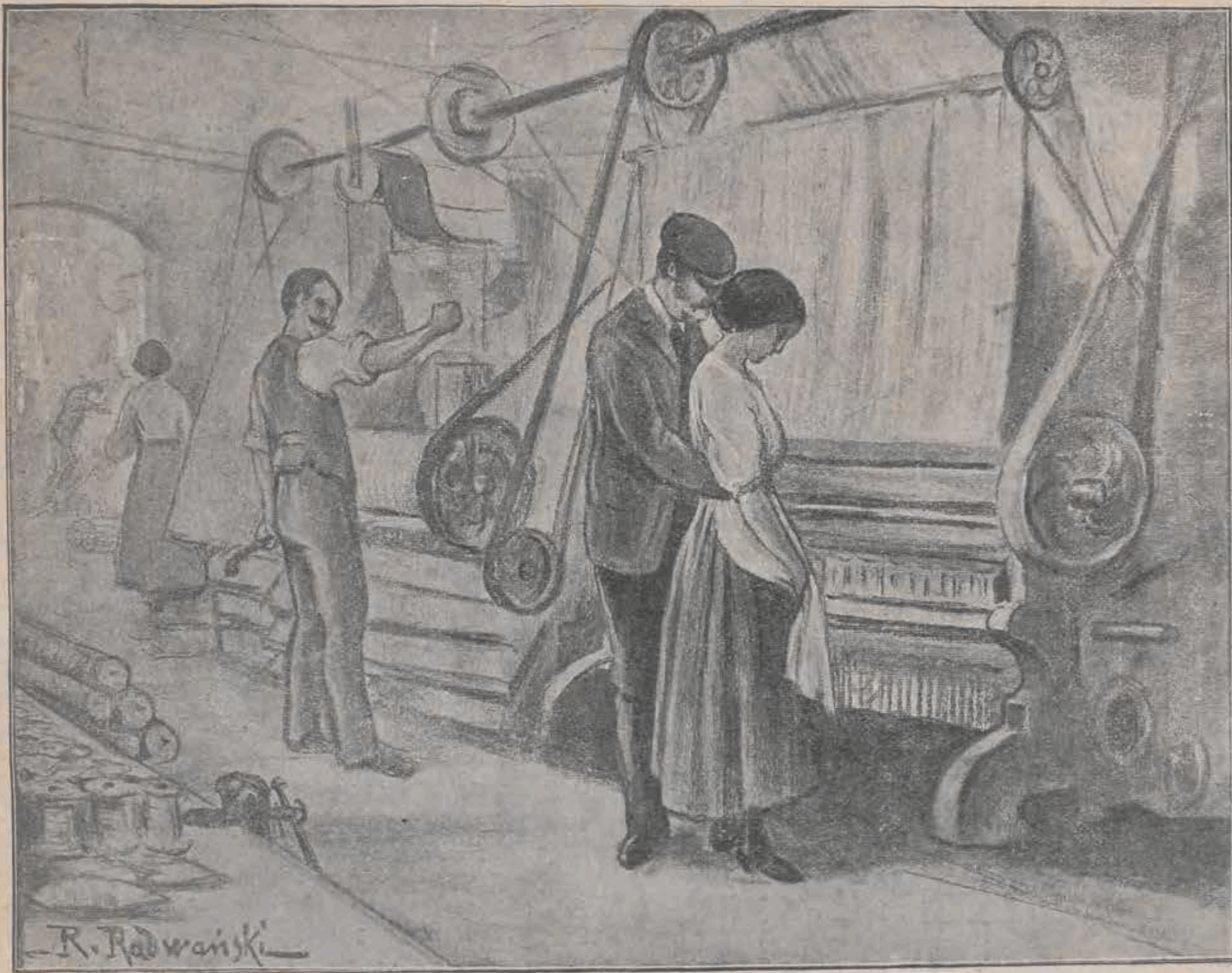
WICHER.

Złotym kłosem w złoty kłos dzwoń a dzwoń,
wypłacz łez strumieniem cierpienie ducha...

WIATR Z POLSKIEGO UGORU.

Nie łez trzeba, gdzie za ciosem cios
Godzi w wiotką łodygę kwiatu,
Nie ginie kosą podcięty kłos,
ale wysługę czyni światu
jak ty, kiedy dumny łamiesz wrzos...

Ludwik Wiszniewski.



„DRAMAT SERCA". (Z cyklu „Życie robotnika".) R. RADWAŃSKI.

- Rozwój i Kultura w Łodzi. -

PRZY czytaniu dzieł wielkich utopistów, jak Tomasza Morusa („De insula Utopia") lub Bellamy'ego („Za 100 lat") zawsze wydawały mi się nadzwyczajnemi i nadprzyrodzonemi te wielkie zmiany i reformy społeczne, ekonomiczne oraz etyczne. Większość utopji naukowych wyróżnia się wielką konsekwencją i logicznością, lecz przy rzucie oka na całość utworów, na to nieprzebyte morze między obecnym ustrojem a przyszłym, musi się człowiek pobłaźliwie zamyślić, pozostawiwszy jenó uznanie wielkim twórcom-fantastom.

Przecież zawsze na przeszkodzie wielkim reformom stawały tak wielkie i potężne czynniki, jak brak harmonji w społeczeństwie, niedostateczna kultura i wiele innych. Prócz tego mieliśmy w polityce dostateczne dowody niemożebności gwałtownych reform, jak np. „ateliers nationaux", urządzone przez Louis Blanc'a podczas rewolucji marcowej.

A jednak... A jednak przyjrzałem się rozwojowi Łodzi w przeciągu jednego roku, t. j. od 1 kwietnia 1911 roku do tejże daty r. b. i... doszedłem do przekonania, że „dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom".

Przy porównaniu miasta i jego kultury ze stanem z przed ostatniego roku zdumiałem.

Łódź od samego początku swego istnienia, t.j. od czasu gdy była założona przez niemieckich przybyszów, jak to nam głoszą kroniki, była stale brudną, niechlujną mieściną. Ale oto nastąpił przewrót nagły, niespodziewany.

U Bellamy'ego, Saint-Simona, Karola Foumier, Proudhona, Bazare'a i in. widzimy pewną ciągłość i konsekwencję w przeprowadzeniu idei utopijnych, widzimy przeważnie obliczenie na dłuższy przeciąg czasu, na postępową zmianę warunków materjalnych i idealnych.

Tymczasem w Łodzi zdziałało się wszystko w przeciągu jednego roku. Jeden rok, i Łódź zmieniła się do niepoznania.

Zmian tych mieszkańcy Łodzi zupełnie nie dostrzegają. Jednakże rozwój miasta stał się tak fenomenalnym, że zwrócił na siebie uwagę całego świata kulturalnego, jak o tem świadczą opisy specjalnych korespondentów najpoważniejszych pism europejskich.

„Morning-Post“ z dnia 28 marca pisze:

„Wielkie fabryczne miasto Łódź pokazało nam, jak słabą i niedoświadczoną jest nasza angielska organizacja miejska i państwowa. Przy założeniu każdego nowego trade-unionu zastanawiamy się długo nad jego przyszłością, ustawami, warunkami bytu i t. p., tymczasem tym samym hamujemy nasze życie przemysłowe i społeczne. A spójrzmy na takie miasto, jak Łódź. Dowiodło nam ono, że przy usilnej pracy władz municypalnych i samorządnych, przy szybkiej procedurze ustaw związkowych, miasto oraz jego związki robotnicze mogą dojść do nadzwyczajnie wielkich dodatnich rezultatów. Łódź, licząca 500 tysięcy mieszkańców, posiada 202 związki zawodowe, uwzględniające jak najobszerniej różne specjalności, przytem asekurację, płacę zarobkową, oraz emeryturę. Na równi z trade-unionami w mieście tem rozwinęła się wspaniale kooperatywa, która w przeciągu jednego roku zdołała wybudować kilkanaście wielopiętrowych gmachów w najpiękniejszych dzielnicach miasta. Znamienne jest, że żaden z tych gmachów w czasie budowy nie zawalił się ani razu“.

Autor, znany publicysta londyński John Schoomer, kończy swój artykuł następującym zwrotem:

„Obserwując miasto Łódź, zrodziło się we mnie wielkie życzenie, ażeby nasze miasto wzięło z niego przykład i starało się wprowadzić reformy, analogiczne z łódzkiemi“.

P. John Schsomer oświetla stan naszego miasta nieco jednostronnie, gdyż tylko z punktu widzenia ekonomiczno-społecznego.

Spójrzmy natomiast, co pisze Pierre de Marrenè w paryskim „Petit Journal'u“ w numerze z dnia 29 marca:

„Dziwne rzeczy i przemiany spotykamy w życiu ludzkiem, zarówno osób pojedyńczych, jak i całych zrzeszeń jednostek t. j. narodów. Niektóre z tych przejawów są podobne do wielkich trzęsień ziemi, które zasypują doliny, tworzą góry i przepaście...

„Ostatnio odbywając podróż po krajach słowiańskich, zwiedziłem i Polskę za kordonem rosyjskim. Przyjechałem do drugiego co do wielkości miasta w Królestwie, mianowicie do Łodzi, której nadzwyczajny rozrost zatrzymał mnie dłużej.

„W mieście tym przebyłem przeszło 4 tygodnie, tak, że mogę się poszczycić, że poznałem je trochę. Piszę „trochę“, bo miasto to ma tak ciekawą i złożoną psychologję, że dotrzeć do jej rdzenia stanowi poważne zadanie.

„Nie będę się tu rozwodził nad stroną ekonomiczną miasta, która ma już ustaloną sławę, ale przejdę do życia społecznego, artystycznego i etycznego Łodzi.

„Ja, dziecko stolicy świata, przybywszy do Łodzi, poczułem się mile zdziwionym, że w punkcie, tak daleko wysuniętym na wschód, mogła się utworzyć taka piękna i wybitna placówka artystyczna.

„Życie duchowe jest tu ogromnie rozwinięte, lecz nie chorobliwie, a racjonalnie. Głównym przejawem tego życia są: teatry, muzea, stale wystawy, akademia sztuk pięknych, towarzystwa artystyczne i literackie, oraz prasa“.

Tu autor opisuje szczegółowo urządzenia i rozwój „Łódzkiego tow. literatów i dziennikarzy“, „Towarzystwa artystów dramatycznych m. Łodzi“, „Sztuki dla sztuki“ i innych starszych zrzeszeń artystycznych Łodzi.

Dalej p. de Marrené opisuje wysiłki, dzięki którym Łódzkie Towarzystwo Dramatyczne zyskało miljonowe kapitały, zbudowało kilka teatrów ludowych i wielki teatr Narodowy w śródmieściu, tuż obok imponującego gmachu „Opery Moniuszki“.

Opisy biblioteki Centralnej i bibliotek specjalnych, wyższych zakładów naukowych, stanowią najciekawszy ustęp korespondencji de-Marrené'go. Niemniej zajmująco pisze wykształcony francuz o działalności Towarzystwa krzewienia oświaty śród mas robotniczych i o instytucjach Unji litwacko-polskiej, mającej w Łodzi główną swą siedzibę.

Wreszcie zacytujemy końcowy ustęp tej barwnej korespondencji:

„Miasto naogół robi wrażenie sympatyczne. Szerokie bruki i chodniki, udoskonalona kanalizacja, oświetlenie, olbrzymi ruch samochodowy wszystko to wywołuje w nas wrażenie iście europejskiego, kulturalnego miasta...

„A teraz na zakończenie muszę zwrócić uwagę czytelników, a to już w celach bardziej utylitarnych, że przydałoby się nam, Francuzom, pod jednym choć względem naśladować Łódź, a mianowicie w wychowaniu młodzieży w kierunku wybitnie etycznym i estetycznym. Spójrzmy więc co ma nam służyć za przykład:

W Łodzi regularnie 3 razy tygodniowo w wielkiej Sali Odczytowej przy zapełnionem audytorjum odbywają się prelekcje wybitnych działaczów łódzkich dla młodzieży. Prelegenci poruszają tematy nadzwyczaj ciekawe i pouczające dla młodzieży, np.: Życie seksualne w utworach Franka Wedekinda“, „Wpływ gwiazd na dzieje ludzkości“, „Pociąg płciowy, jako impuls działalności społecznej“ i inne.

Czy tego rodzaju odczyty nie byłyby może zbawiennym środkiem dla Francji i nie uchroniły jej od strasznego widma degeneracji. Rzucam myśl, w nadziei, iż grono etycznych działaczy społecznych przyjmie ją i rozwinie“.

Nie będę tu cytował licznych artykułów z prasy niemieckiej, amerykańskiej i in., zaznaczę tylko,

że Łódź zyskała już w świecie kulturalnym to uznanie, na które w zupełności zasłużyła.

Jedno tylko mnie zastanawia w tem uznaniu: dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie te korespondencje, opisy i feljetony ukazały się w prasie wszechświatowej jednocześnie, i to akurat w przeddzień pierwszego kwietnia.

Czyżby Prima-Aprilisowy dzień odgrywał w historji rozwoju Łodzi i ocenie jej kultury jakąś specjalną, znamienną rolę?

Jak sądzisz, czytelniku? *Zyg-munt.*



GABRYELA BIRENCWEIG.

Doktór chemji, córka znanego i ogólnie poważanego adwokata, zmarła w Łodzi w dniu 23 b. m. w wieku lat 28. Nieboszczka ostatnio pracowała w Paryżu w instytucie Pasteurowskim pod kierunkiem prof. Miecznikowa i rokowała najświetniejsze nadzieje. Zmarł dzielny, światły człowiek. Zwłokom przedwcześnie zgasłej towarzyszył szczery głęboki żal rodziny i przyjaciół.

. . . .

„Rozkołysały duszę sny...
„Poszła w krainę tak odmienną...
„Rzuciła twarde ziemi lenno —
„Tęsknoty mgły.

„Nie pozostało po niej nic,
„Jeno spiętrzonych kier zatory,
„Ludzi zdziwionych rozhowory
„I bladość lic.

„Została po niej czarna cieśń,
„Więzienie puste i otwarte,
„I zostawiona tam na wartę
„Bojowa pieśń.

(Fr. Mirandolla.)

Trzy koncerty symfoniczne.

W d. 23, 24 i 25 b.m. nasz gród fabryczny przybrał cechy wielkomiejskie ze względu na goszczącą tu przez trzy wieczory Warszawską Orkiestrę Symfoniczną. Przypomniano nam dzieła wielkie, jak: Poemat Straussa „Śmierć i Wyzwolenie", Kalinnikowa Symfonję G-moll, Goldmarka „Wesele wiejskie". Schuberta „Niedokończoną" i Rimskiego-Korsakowa „Schecherezadę." Solistami 3-ch wieczorów kolejno byli: 13-letnia Fela Ribierówna (pianistka), 16-letni Miron Polakin (skrzypek) oraz p. Juljan Birnbaum (wiolonczelista-amator).

Ryszard Strauss hołduje zasadom obrazowości muzycznej: jego poematy symfoniczne, komponowane zazwyczaj do treści zaczerpniętej z utworów literackich, ilustrują szeregi scen i wydarzeń, w których autor za pomocą nadzwyczaj umiejętnie wprowadzonych w czyn środków technicznych, a głównie dzięki barwom wspaniałej orkiestracji usiłuje określić lub uwypuklić każdy szczegół, nietylko dotyczący nastrojów opiewanych mową tonów momentów; lecz nadto uplastyczniać przedmioty. „Śmierć i wyzwolenie" jest uważane za jeden z najdoskonalszych utworów Straussa, a ilustruje ostatnie zapasy ze śmiercią konającego człowieka z całym aparatem majaczeń gorączkowych oraz budzenia się duszy do świadomości wiekuistego wyzwolenia z ziemskich walk doczesnych:

Kto nie zna objaśnień autora, częściowe tylko odniesie ze słyszanej muzyki wrażenie odtworzonego przebiegu akcji i myśli. Oczywiście zbyt trudnem zaiste zadaniem dla kompozytora jest uzewnętrznianie obrazów realistycznych i cały ten program literacki nie miałby żadnego znaczenia, gdyby treść muzyczna utworu nie była sama w sobie arcydziełem kunsztu artystycznego z czysto muzycznego punktu widzenia. Należy powinszować orkiestrze wykonania tego trudnego dzieła.

Rzeczą naturalną jest, że po tej kąpieli natryskowej z dźwięków piękna symfonja Kalinnikowa wyszła nieco blado i nie wywarła tego wrażenia, jakie w innych warunkach wywiera.

Następnego wieczoru roskoszowaliśmy się piękną symfonją Goldmarka „Wesele wiejskie". Muzyka, niby programowa, a w zasadzie absolutna, szczera i serdeczna. Nie targa nerwami, nie zdradza pomysłów głębszych, a jednak mile pieści uszy i, nic dziwnego, że symfonja Goldmarka zyskała szybko popularność i często figuruje na programach koncertowych.

3-ci wieczór (mistyczny) zapoznał nas z poematem Rimskiego-Korsakowa „Schecherezadą", dziełem bardzo nastrojowem i barwnie instrumentowanem, po wysłuchaniu którego doznaliśmy uczucia najwyższego zadowolenia estetycznego i — oszołomienia. Wykonanie tego popisowego dla orkiestry utworu było okazją do owacyjnych oklasków dla p. Zdzisława Birnbauma.

Występ p. Feli Ribierówny (Koncert G-moll Saint-Saënsa) uważam za przedwczesny, mogący wywrzeć ujemny wpływ na dalszy rozwój wielce uzdolnionej młodocianej koncertantki.

Występ p. Mirona Polakina (16-letniego skrzypka) zainteresował szerszą publiczność przez szumne, a niedorzeczne reklamy, które raczej zaszkodziły mu. niż pomogły. Porównywanie p. Polakina z „genialnym" Chejfecem nie wytrzymuje krytyki.

Koncertant okazał się bezwątpienia niepospolicie utalentowanym i odtworzył koncert Czajkowskiego po akademicku, bez znamion indywidualnych, zdradzając już w grze swojej pewne zmanierowanie.

W wieczorze mistycznym p. Juljan Birnbaum odtworzył z towarzyszeniem orkiestry „Kol Nidrey" Brucha, a zniewolony do naddatku dodał „Adieu" Dawidowa, wywiązując się z zadania ku ogólnemu zadowoleniu.

F. Halpern.

- KOMUNIKAT. -

Od Komisji Tow. Lekarskiego Łódzkiego, otrzymaliśmy następujący komunikat.

Wykonywując polecenie Ogólnego Zebrania Towarzystwa Lekarskiego w sprawie walki z ospą w Łodzi, Komisja wysadzona z łona tegoż Towarzystwa w dniu 6 i 20 marca 1912 i złożona z panów doktorów B. Łuczyckiego, H. Ruegera i S. Skalskiego postanowiła:

A) Zwrócić się osobiście w imieniu Towarzystwa Lekarskiego do pp. Inspektorów fabrycznych w celu uzasadnienia wobec nich potrzeby ścisłego przestrzegania postanowienia obowiązującego Piotrkowskiej Komisji fabrycznej z roku 1896 w sprawie walki z ospą. Postanowienie to zaleca:

a) zarządom fabryk, obowiązanych mieć stałego lekarza — okazywanie pomocy lekarzom fabrycznym przy szczepieniu ospy ochronnej robotnikom.

b) na lekarzy fabrycznych nakłada ono obowiązek szczepienia ospy ochronnej robotnikom, oraz dokonywanie szczepień powtórnych.

c) na lekarzach ciąży również obowiązek szczepienia ospy wszystkim członkom rodzin robotniczych, zamieszkałym w domach fabrycznych i ponawiania szczepienia o ile będzie potrzeba.

d) w razie epidemji ospy, powinno być dokonane szczepienie wszystkich robotników i powtarzane, o ile się okaże niezbędnem.

e) w razie zapadnięcia na ospę kogoś z rodziny robotnika na lekarzu ciąży obowiązek odosobnienia chorego.

f) ostatni (f) artykuł nakazuje prowadzenie kontroli wszystkich szczepionych w księdze numerowej i wydawanie dowodów każdemu robotnikowi, że ospa została mu zaszczepiona.

PP. Inspektorowie fabryczni, do których się zwrócono w dniu 26. III. przyrzekli zająć się tą sprawą i przeprowadzić ją w myśl uchwały Towarzystwa Lekarskiego, opartej na postanowieniu obowiązującem.

B) Dalej komisja postanowiła wystosować w imieniu Tow. Lek. Łódzkiego odezwę do Zarządów kolonji letnich dla chrześcijan i dla żydów, aby do instrukcji dla lekarzy, kwalifikujących dzieci do wyjazdu na letnisko, został włączony warunek wymagania dowodu o dokonaniu rewakcynacji (powtórnego szczepienia ospy), względnie, by dzieciom przed wyjazdem szczepiono ospę.

C) Komisja zwróci się też w imieniu Tow. Lek. do pp. kierowników i kierowniczek wszystkich zakładów naukowych w mieście z odezwą, wskazującą potrzebę wymagania od nowoprzyjętych do szkoły świadectwa o rewakcynacji (powtórnym szczepieniu ospy).

W sprawie odezwy, nawołującej ludność Łodzi do szczepienia ospy, postanowiono odezwę taką opracować i prosić pisma łódzkie o wydrukowanie jej w imieniu Tow. Lekarskiego.

D) W celu skuteczniejszego oddziałania na ogół mieszkańców Łodzi postanowiono zwrócić się osobiście do duchowieństwa wszystkich wyznań, aby z kazalnicy nawoływało wiernych do poddawania siebie i dzieci szczepieniu ospy ochronnej oraz, aby nawoływania takie panawiało co jakiś czas.

E) Prócz tego opracowano tekst kart ulotnych, nawołujących mieszkańców Łodzi do poddawania siebie i swych rodzin szczepieniu ochronnemu ospy po raz pierwszy lub powtarzaniu szczepienia. Kartki te będą rozdawane osobom zgłaszającym się o pomoc lekarską w ambulatorjach szpitalnych i fabrycznych oraz Tow. Dobroczynności.

F) W celu ułatwienia lekarzom domowym zawiadamiania lekarzy miejskich o każdym wypadku choroby zakaźnej, a w szczególności ospy, opracowano tekst odpowiednich kart pocztowych, które opatrzone jako druki w marki jednokopiejkowe, będą dołączone lekarzom cyrkułowym. Karty ospowe będą się różniły barwą od innych.

G) Co do pozostałych wniosków d-ra Skalskiego uchwalonych przez Tow. Lekarskie, komisja postanowiła przedstawić władzom miejskim osobiście i uzasadnić wobec tychże władz:

a) potrzebę urządzenia stacji miejskich szczepienia ospy po za obrębem cyrkułów i mieszkań lekarzy cyrkułowych; na stacjach winno być dokonywane bezpłatnie szczepienie ospy i po sprawdzeniu wyniku szczepienia, wydawanie bezpłatne świadectw:

b) potrzebę przestrzegania prawa z d. 4 września 1811 i 26 stycznia 1860 co do szczepienia ospy ochronnej niemowlętom oraz wskazać na użyteczność deklaracji składanych przez rodziców niemowląt co do poddania dziecka szczepieniu ospy ochronnej na wzór zaprowadzanych obecnie na wniosek d-ra J. Polaka w Warszawie, oraz wykazów osób podlegających szczepieniu na wzór zaprowadzonych przez d-ra B. Łuczyckiego w jednym z cyrkułów łódzkich;

c) potrzebę przyspieszenia sprawy budowy szpitala miejskiego w Łodzi dla chorych zakaźnych oraz domu izolacyjnego;

d) potrzebę szczepienia ospy ochronnej wszystkim mieszkańcom domu, gdzie zdarzył się wypadek ospy;

e) potrzebę dokonywania bezpłatnie obowiązkowego odkażania mieszkań po ospie;

f) potrzebę wymagania od gospodarzy domów względnie rządców zawiadomienia lekarzy cyrkułowych o każdym wypadku ospy, jaki się zdarzy w ich domu.

Z WIECZORU MISTYCZNEGO.

(WRAŻENIA).

Z pod smyczków unoszą się dźwięki bajkowe... Napełniają ciemną salę, ogarniają ją cudem, przepychem.

Brzmi modlitwa pokutna, spowiednia... Płacze wiolończela, skarży się na swój los i na los skazanego narodu na tułaczkę wieczną, bez chwili odpoczynku, wytchnienia... Pieśń skruchy...

Sala, pogrążona w smutnym półmroku, słucha dźwięków bolesnych. Dusza korzy się przed potęgą tonu wielkiego, wszechwładnego... Buja ciemnopióry ptak smutku i ogarnia wszystkich skrzydłami swojemi i przytula wszystkie zbolałe dusze...

Widzę jakąś zamyśloną, skupioną twarz... Maluje się na niej myśl wyzwoleńcza. Choć na chwilę, choć na jedną odłączyć się od tej atmosfery grosza i pobujać w krainie serca.

Jeruzalem ducha!...

Chrzęst i krzyk, grom i szum...

Wiruje szał... Szkieletów tan... Czuję chrzęst kości nagich, piszczeli skrzywionych, czaszek rozbitych...

Zawrotny taniec porywa trupy i ciągnie za sobą w wir, tworząc zygzaki, koła...

Dusza tłumu otwarła wrota. Wchłania te dziwne, nieznane jej i niezrozumiałe wrażenia i drży przy szczęku piszczeli, i gorzeje przy dźwiękach zawrotnego szału, i słucha w milczeniu, oddając się na chwilę nieznanej mocy... Moc ta chwyta duszyczki tłumu, rzuca je pod stopy tańczącym szkieletom i szepce:

„A gdy przejdzie wasz zmienny los i życiowe koleje, to urządzę wam taką stypę szaloną, taki tan zawrotny..."

I prostaczek drży, a słucha...

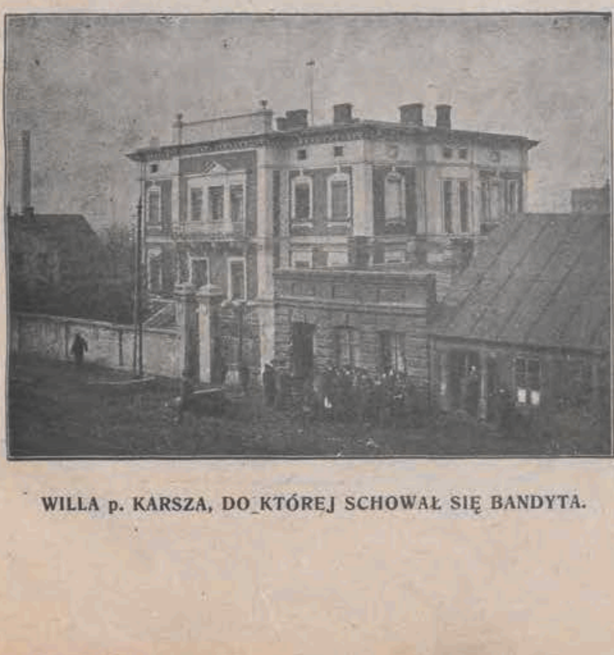
Bajka...

Dusza tłumu drży i marzy... Marzy piękna, zasłuchana w dźwięki ślicznej baśni Schecherazady, w opowiadanie króla Kalendera, zapatrzona w jaskrawe wschodnie święto w Bagdadzie...

Marzy... Dusza przeniosła się o całe stulecia, o całe kraje i jest gdzieś hen! na wschodzie, podczas rozkwitu kalifatu... Słucha melodji jej nieznanej, dziwnej, wchłania ideę ogólno-ludzką, ideę piękna nieskończonego, zawartego w tonach...

A pieśń rozkwitła i dojrzała huczy po sali i śpiewnie, cudownie kusi zrównoważonego światowca i zahukanego pracownika, by pomarzyli chwilkę, by zapomnieli o świecie, o życiu, o wszystkim, a oddali się w bezgraniczne władanie Bogini tonu...

Zet El.



WILLA p. KARSZA, DO KTÓREJ SCHOWAŁ SIĘ BANDYTA.

KRONIKA.

Ostatni tydzień obfitował w szereg krwawych epizodów bandyckich. Największą sensację wzbudził fakt oblężenia bandyty, który skrył się w piwnicy pałacyku p. T. Karsza przy ul. Zgierskiej № 104, ztamtąd ostrzeliwał oblężających go policjantów i wzajem był ostrzeliwany.



OKNO PIWNICZNE W WILLI p. KARSZA.

Dwa specjalne zdjęcia naszego fotografa przedstawiają willę p. Karsza i okno piwniczne, wokoło którego widoczne są ślady setek kul. W głębi na parapecie okna bocznego widać broń, którą się posługiwał oblężony, blizej zaś wisi jego palto — słaba obrona przed kulami mauzerowskiemi. Trzecia fotografia przedstawia widok pośmiertny bandyty, którego osobistość dotąd nie została jeszcze stwierdzona.



TRUP BANDYTY NIEWIADOMEGO NAZWISKA, SFOTOGRAFOWANY NATYCHMIAST PO WYDOBYCIU GO Z PIWNICY.



ANTONI CENDROWSKI.



JÓZEF MADELSKI.



STANISŁAW BIERNACKI.

Wyżej wymienieni brali udział w napadzie bandyckim na inkasenta firmy: „Bracia Dobraniccy" i ujęci zostali przy pomocy grupy robotników, wychodzących z fabryki.

Wyszła w oddzielnem wydaniu odbitka z „Przeglądu Lekarskiego" (№ 10, 1912) p. t. „Epidemja ospy w Łodzi w roku 1911 pod względem statystycznym", podana przez d-ra Stanisława Skalskiego.

Broszurka ta zawiera nader cenny i pouczający materjał i zasługuje na wyczerpujące omówienie, które poświęcimy jej w następnym numerze.

2)

- ŁÓDŹ -

REVUE

W PIĘCIU OBRAZACH PROZĄ

napisał

Jakko.

ELEGANCKA DAMA.

O dziewiątej minut dziesięć.

ELEGANCKI PAN.

O ile się pociąg nie spóżni.

ELEGANCKA DAMA.

Rozstańmy się, gdyż zaczynają na nas zwracać uwagę...

ELEGANCKI PAN

Pluń na ten motłoch!...

ELEGANCKA DAMA.

Oczekiwać cię będę na ulicy... tuż obok cukierni... tam gdzie zawsze... pamiętasz?

ELEGANCKI PAN.

Bądź spokojna! choćbym nawet oślepł odnajdę cię z pewnością...

ELEGANCKA DAMA.

Au revoir!...

(Znika.)

* * *

MECENAS.

Nie wiesz Papo, kto zacz ta damulka?

PAPA.

Na co mam wiedzieć, kiedy i tak z tej mąki chleba nie będzie!... Kąsek smaczny, ale nie na moje zęby... nie rozgryzę...

MECENAS.

No! no! nie udawajmy!... historja jednak mówi coś innego... skromność zresztą jest zaletą osób będących w wieku podeszłym... co Papciu?... razem to chyba mamy latek stopięćdziesiąt?...

PAPA.

Kpisz pan czy co?...

WOŹNY.

Bez biletu peronowego nie wolno...

INTERESANT.

Ale ja chciałem temu panu dwa słowa tylko powiedzieć...

WOŹNY.

To gadaj pan bez okno.

INTERESANT.

Kiedy okno zamknięte! Gwałt! pociąg odchodzi!

DRUGI INTERESANT,

Gdzie mój czemodan?... policja!... ukrali mó czemodan!...

(Biega zrozpaczony po sali trzymając w ręku rzemień od walizki.)

WOŹNY.

Powiedziałem już raz, że nie wolno...

DRUGI INTERESANT.

Zaperet' dwieri! obyskat' publiku!...

URWIS.

Czego się pan tak drze jak stara dekoracja?

DRUGI INTERESANT.

Kak? nie ponimaju...

URWIS.

Rzemień pan masz?...

DRUGI INTERESANT.

(Oglądając bezradnie rzemień.)

Nu! tak czto?

URWIS.

No, to powieś się pan na nim!...

(Wśród zgiełku, śmiechu i rwetesu wkracza żandarm — słychać świst lokomotywy — pociąg rusza).

Zasłona spada.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

S. G. SEELIGER.

2)

BŁĘKITNA - FLOTA -

POWIEŚĆ

Z NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI.

NIE mógł uwierzyć, ażeby ojciec ten mężczyzna w sile wieku, zmarł tak nagle. Jeszcze niedawno miał listy z domu, w których ojciec donosił mu, że zakupił nowe tereny na Maderze, a zwłaszcza wspaniały stok Quinta Vigia, na którym wznosił się niegdyś dom gry, zamknięty wreszcie przez gubernatora. Skarżył się w tych listach na trudności, jakie spotykają go ze strony rywala Olivera Splendy, ojca pięknej Marion, ale brzmiało w nich także poczucie własnej siły, nadzieje przyszłości. I ta nagła, nieprzewidziana śmierć, o której donosił stary przyjaciel rodziny, kierownik miejscowego szpitala dr. Felipe Serrote...

— Muszę jechać natychmiast — zawołał nagle Manuel.

— Uspokój się przedewszystkiem. Zapakuję ci kufry i wyślę za tobą. Dziś jeszcze pojedziesz do Strasburga, stamtąd ekspresem do Paryża, we środę wieczorem będziesz w Lizbonie.

— Waldemarze, jedź ze mną! — prosił Manuel szukając jakby podpory. — Środki twoje i tak wyczerpią się niebawem.

— Na Maderze tak samo. A na każde zamówienie będę tam musiał czekać dni czternaście.

— Ale będziesz ze mną.

— Jałmużny nie przyjmuję.

— Znajdę ci jakieś zajęcie.

— I będę łatał kotły na twoich parowcach lub zakładał dzwonki elektryczne w sanatorjach. Dziękuję... Nie chcę cię bynajmniej obrazić. Ale jechać nie mogę. Żyję nie dla siebie, lecz dla moich idei. I z pewnością nie zapomnę o tobie, gdy powiedzie mi się zrobić wynalazek, którego praktyczne zastosowanie wymagać będzie większego kapitału, a który będzie mógł przynieść korzyści.

— Więc zobaczymy się?

— To nie jest wykluczone. A teraz żegnaj.

Manuel Rochalves skinął w milczeniu głową i wyszedł powoli.

A Waldemar Quint powrócił do laboratorjum. Ocierając krwawe ślady z czoła, uprzątnął odłamki szkła i począł czynić przygotowania do nowych eksperymentów.

II.

John Splendy wszedł do prywatnego kantoru swego wuja i przedłożył mu kilka listów do podpisu.

Stary pan westchnął, otarł pot z czoła, połknął łyk whisky z wodą sodową i wziął pióro do ręki. Dopiero spojrzawszy na ostatni list, zatrzymał się.

— Co to znaczy? — mruknął zdziwiony.

— Odpowiedź! — odparł sucho John.

Oliver Splendy odłożył pióro, rozparł się w fotelu i zamyślił.

— Zaczyna ostro — rzekł po chwili. — Zupełnie jak ojciec. Ale to młodość, czas przytrze mu rogów.

— On wie doskonale, co robi.

— Ale to nie zmienia postaci rzeczy, że na tę zimę zgłosiło się do sanatorjum tylko dwadzieścia osób. Wogóle to przedsiębiorstwo musi zbankrutować w ciągu kilku lat. Chciej mi wierzyć.

John potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie przekonasz mnie o tem. Zaczekaj na rezultaty reklamy, zaczekaj na pierwsze rezultaty leczenia. Klimat Madery jest lepszy, niż wszelkich uzdrojowisk Europy razem wziętych.

— Ale tamte są tańsze.

— Z ubogich może Madera zrezygnować. Zobaczysz, co będzie za lat dziesięć.

— Dziesięciu lat Rochalves and Comp. nie wytrzymają.

— Na to zgoda, ale wówczas my będziemy. I jeżeli tylko miejscowość się ożywi, powodzenie przyjdzie szybko.

— Tak, o to właśnie chodzi. Ale cóż dzisiaj dać można tym cudzoziemcom, którzy żądają rozrywek i zabawy. Ba, gdyby na Quinta Vigia stał jeszcze zielony stolik, hotele byłyby przepełnione. Wtedy prócz chorych przyjeżdżaliby także zdrowi. Ale na to trzebaby zgody rządu lizbońskiego, a tej nie osiągnie się nigdy.

— Ostatecznie wróćmy do listu — przerwał John.

— Więc cóż robić?

— Gdybyś był posłuchał dawniej mojej rady, nie znalazłbyś się teraz w tem położeniu. Wtedy trzeba było stoczyć walną bitwę ze starym Rochalvesem; byłbyś zwyciężył rywala. Dzisiaj można tylko zwlekać i czekać. To widać, że Manuel Rochalves chce posiąść ten teren za każdą cenę. I da każdą, jeżeli wytrwamy.

— To najrozsądniej — odparł stary pan, podpisując leżący przed nim list.

Następnego dnia John Splendy przyszedł znowu do gabinetu swego wuja, przynosząc odpowiedź Manuela Rochalves.

— Grozi! — rzekł objaśniającym tonem.

— Co znowu? — zakrzyknął Oliver Splendy, spoglądając na papier. — Grozi nam przymusowem wywłaszczeniem i powołuje się na układ z rządem lizbońskim. O, jakże sprytny był ten Aleixo Rochalves! Znalazł w Lizbonie kilka pustych tek ministerjalnych i napełnił je. A za to zyskał tu władzę i przemoc. Ale co robić teraz? Co robić? Przy przymusowej sprzedaży stracimy sto procent. Chyba sprzedać odrazu, dobrowolnie?

— Rada jest jedna. Gdy zechcą nas zmusić, poruszymy rząd angielski. On musi się ująć za swymi poddanymi. A wówczas w Lizbonie zmienią się poglądy.

Stary pan był tak uradowany pomysłem, że nie skarżył się, iż córka jego Marion od kilku dni nie ukazuje się przy stole. To, że dzisiaj przyszła do salonu jadalnego, zwiększyło jeszcze jego radość. John poszedł do domu obmyślać plany londyńskie, mieli więc jeść we dwoje.

Nagle młoda dziewczyna zwróciła się do służącego i rzekła:

— Jack, przygotuj trzecie nakrycie, będziemy mieli gościa na obiedzie.

— Któż przyjdzie? — zapytał Oliver Splendy, zadowolony, że kaprysy i zły humor córki minęły.

— Manuel Rochalves! — odparła krótko.

Stary pan oniemiał ze zdziwienia.

— Nasz wróg? — wyjąkał po chwili.

— W takim razie pogodzicie się! — rzekła spokojnie Marion.

— To niemożliwe! Niemożliwe.

— Przeciwnie. Choćby dlatego, że postanowiłam zostać jego żoną.

— Marion!!

W tej chwili Oliver Splendy bliski był śmierci z przerażenia.

— Tak, ojcze, wiesz przecie, że sympatyzowałam zawsze z jego ojcem, jego znam dobrze i kocham.

— Nie, to niemożliwe, Marion. Chciałem, ażebyś oddała rękę Johnowi, ażeby nazwisko firmy naszej pozostało, utrzymało się.

— Nie mogę dla firmy poświęcać swego uczucia.

Oliver Splandy był jeszcze ciągle osłupiały i ciągle się opierał. Ale równocześnie przelatywało przez jego głowę tysiące planów. Rochalves and Comp. stałoby się filją firmy Oliver Splendy Son. A ten układ z rządem portugalskim był bezcenny. W zamian możnaby żądać wszystkiego. Ale czego? Najlepszym interesem był dom gry. Dawałby co najmniej dwieście procent. Czyż Madera nie była piękniejsza, niż Monte Carlo, Ostenda i Biarritz razem? Czyż nie bliżej byłoby do niej z Ameryki i Anglji?

Tak, Oliver Splendy był gotów podać rękę do zgody, w zamian za...

Wyłuszczył to dopiero przy spotkaniu z Manuelem Rochalves w kantorze, gdy przyszedł prosić o rękę Marion. Wyłuszczył jasno i bez ogródek:

— Rząd lizboński nie może mnie wywłaszczyć. Jestem Anglikiem i odwołam się do Anglji o ochronę.

— W takim razie — odparł Manuel z uśmiechem — rząd lizboński będzie mi musiał wypłacić umówione odszkodowanie.

— Tak, gdyby miał pieniądze.

— A zatem...

— Można zawrzeć nowy układ, żądając nowych koncesji.

Manuel Rochalves potrząsnął głową. Nie rozumiał jeszcze, dokąd dąży jego przyszły teść.

— Co sądzisz pan o domu gry, koncesjonowanym przez państwo?

— Tutaj na Maderze.

— Na Quinta Vigia.

— Tem większy czas, ażeby go przeprowadzić. A jeżeli ministerstwa się oprą, złamiemy opór pieniądzmi.

— Na to potrzeba miljonów.

— Ja je posiadam — odparł Oliver Splendy z dumą.

— Więc zgoda.

— Jakież to poparcie dla sanatorjów, założonych przez pańskiego ojca. Będą przepełnione. A zdrowi płacą lepiej, niż chorzy. Wyspa stanie się nawskroś kulturalną, pieniądze popłyną rzeką, każdy chłop tutejszy będzie Krezusem.

I tak umowa doszła do skutku. Zaręczyny zachowano na razie w tajemnicy. To był też pomysł starego pana, który wiedział, że John kocha się w Marion i który wiedział, że John jest mu jeszcze potrzebny do intryg w Londynie. Rozpoczęły się one zaraz po jego wyjeździe. Rochalves and Comp. zażądali od rządu w Lizbonie dopełnienia zawartych układów. A równocześnie rząd angielski sprzeciwił się wywłaszczeniu swego poddanego. Noty dyplomatyczne krążyły, proponowano rokowania i ustępstwa. Stary pan śledził bacznie przebieg sprawy, dozorując w wolnych chwilach setek robotników, którzy pracowali pospiesznie nad przebudowaniem i urządzeniem pałacu Quinta Vigia.

Wreszcie pewnego dnia odezwał się znowu błyszczący aparat metalowy, stojący na biurku Olivera Splendy. Mister Rowley, lizboński ajent firmy chciał się porozumieć z szefem.

A-l-l-r-i-g-h-t— brzmiała telegraficzna informacja.

Rząd udzielił koncesji, można było ogłosić otwarcie domu gry.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

.·. PAMIĘTNIKI FREMLA .·.

OPRACOWAŁ HENRYK FRAENKEL.

2)

I.

DZIECINNE lata moje — opowiada Fremel — zaliczam do najciekawszych. Zawsze szukałem nowych i silnych wrażeń, i nigdy mi ich nie brakło.

Od 1894 roku do 1897 uczęszczałem do szkoły Graczyka, która wówczas mieściła się przy ulicy Piotrkowskiej № 93.

Przyznaję, że nie miałem najmniejszego zamiłowania do nauki. Nie znosiłem widoku książek i kajetów. Wstręt do nauki, do „teorji" odziedziczyłem w równym stopniu po ojcu, jak i po matce. Oboje wierzyli w osobiste doświadczenie życiowe. Mądrość życia czerpali z własnych przeżyć i obserwacji i wystarczało im to w zupełności.

Brak pociągu do książek wypływał też z pewnej tępości umysłu, który nie umiał nigdy nagiąć się do pojęć abstrakcyjnych. Tylko to, co było konkretne, namacalne, osiągalne, mieściło się w mojej wyobraźni. Nawet marzenia moje trzymały się zawsze objektów poziomych, życiowych. Nie wybiegałem fantazją nigdy po nad to, co można by było doraźnie, choćby z trudnościami osiągnąć.

Pierwsze w życiu mojem zadanie, które wydało mi się najważniejszem, była konieczność wynalezienia skutecznego sposobu przeciwko... szerokiej czerwonej linji, którą pedagodzy szkoły p. Graczyka wymierzali mi odpowiednie dozy wychowania. Bili mnie mocno, i bili mnie chętnie! Czułem, że ta wstrętna operacja sprawiała im jakąś dziwną, osobistą przyjemność. Przyglądałem się ich twarzy, gdy bili moich kolegów. Podobny wyraz twarzy pewnie ja sam miałem wtedy, kiedym wieszał jednego z bandytów — mojego największego wroga. Dziś mówię o tem wszystkiem zupełnie obojętnie. Ale będąc dzieckiem, oburzałem się na dziką zaciętość i krwiożerczość niektórych moich wychowawców.

Mój ojciec nieraz uderzył mnie tak, żem się krwią zalewał; nieraz tak mnie „kropnął", żem leciał o trzy kroki, padał i omdlewał.

Ale panowie profesorowie bili mnie z jakąś niewytłomaczoną egoistyczną satysfakcją, bili spokojnie, powoli, licząc razy i systematycznie obijając to lewą, to prawą, to niższa, to wyższą część owładniętego ciała...

Znalazłem wreszcie sposób na ich pastwienie się nademną. Byłem pierwszy, który wprowadził izolację ciała od cięć linji, a materjałem izolacyjnym były kajety szkolne, które w ten sposób na coś się przydały.

Wogóle system bicia uczniów wprowadził odpowiednio wojowniczy śród uczniów nastrój: gdy któryś z kolegów zawinił coś we wzajemnych stosunkach, karany był również linją, gdyż innych sposobów kary sami nie znaliśmy.

II.

W owym okresie ojciec mój miał restaurację 3-go rzędu. Bywał u nas częstym gościem pan „naczelnik", przy którym wydział śledczy w Łodzi zdobył olbrzymi rozgłos. Był on rozmiłowany w swoim zawodzie i w zakresie śledztwa policyjnego wykazał nadzwyczajny spryt i duże zdolności.

„Naczelnik" przesiadywał u nas godzinami i rozprawiał albo o polowaniu, albo o swoich tryumfach na polu poszukiwań zbrodniarzy i złoczyńców.

Opowiadając głośno o poszlakach przeciwko różnym przestępcom, naczelnik przyglądał się ciekawie niektórym gościom, częściej odwiedzającym knajpę ojca.

Byli śród nich tacy, z którymi potem naczelnik miał z urzędu do czynienia. Pomimo tego nie tylko nie unikali naszego zakładu, lecz — przeciwnie — odwiedzali aż za często. Widocznie coś ich ciągnęło do tego miejsca, gdzie, na razie przynajmniej, mogli bezpiecznie przypatrywać się „naczelnikowi", co do którego chyba nie wątpili, że wcześniej lub później „nakryje" ich niechybnie.

Opowiadania pana „naczelnika" silnie działały na moją wyobraźnię i podniecały mnie... do czynu!

Ale — do jakiego?

Miałem do wyboru: albo przeciwstawić się „naczelnikowi" i spłatać mu takiego figla, którego by nigdy nie wyśledził, albo też stanąć przy nim, jako jego współzawodnik i przedsięwziąć na własną rękę wyśledzenie jakiejś poważniejszej zbrodni, której on sam by napewno nie wyśledził.

W pierwszej chwili miałem zamiar krwawo zemścić się na jednym z nauczycieli szkolnych. Nie miałem jednak żadnej broni, a z procy strzelałem nie tego. Zresztą w czasie obmyślania zamachu „naczelnik" złapał mnie kiedyś znienacka za ucho i zapytał: „O czem myślisz? masz złe zamiary! nie uda ci się ani jeden!"

Zbladłem ze strachu.

Zdawało mi się, że „naczelnik" czyta w mych myślach, że jestem zdemaskowany. W każdym razie czułem, że plany moje, zresztą jeszcze bardzo mgłą otulone, zostały rozbite, i że muszę pośpiesznie rehabilitować się w opinji pana „naczelnika" i serdecznego przyjaciela mojego ojca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TEATRU.

W ubiegłym tygodniu na scenie teatru Popularnego dwukrotnie wystąpiła gościnnie słynna aktorka teatru krakowskiego, najwybitniejsza dziś tragiczka polska, pani Stanisława Wysocka, w rolach: Maryjki, gosposi z „Sobótek" Sudermana i w roli tytułowej w dramacie G. Hauptmanna p. t. „Róża Bernd".

W obu tych rolach znakomita artystka święciła prawdziwe tryumfy.

OFIARY.

Pani W.......h złożyła do dyspozycji p. J. Jorasza rb. 1, którą to kwotę wpłaciliśmy do kasy „Ligi przciwgruźliczej".

OD ADMINISTRACJI.

Wszyscy nowo przybywający prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie trzy numera marcowe.

Upraszamy o wskazywanie nam adresów jaknajdokładniejszych (front, oficyna, numer mieszkania).

Redaktor i Wydawca: **Henryk Fraenkel.** Kierownik artystyczny **Henryk Szczygliński.**

KLISZE Z ZAKŁADU FOTOCHEMIGRAFICZNEGO R. BORKENHAGEN.

Wł. Gajderowicz Tłocznia art. daw. „JERZY JORASZ" w Łodzi, ul. Piotrkowska № 111. — Telefon 22-18.

Strajk górników w Angjli.



Strajk górników w Niemczech.



W ostatnim numerze monachijskiego „Simplicissimus'a“ znajdujemy satyrę, charakteryzującą dwa światy — dwie kultury.



Jak się w Łodzi bawią młodzi.

OD WYDAWNICTWA.

Administracja uprasza księgarnie, kantory pism, kioski i biura kolportażowe o wcześniejsze nadsyłanie zamówień na czwarty — PRZEDSWIĄTECZNY numer „Tygodnika Łódzkiego Ilustrowanego".

Redaktor i wydawca Henryk Fraenkel. Kierownik artystyczny Henryk Szczygliński.

Wł. Gajderowicz Tłocznia art. daw. „JERZY JORASZ" w Łodzi, ul. Piotrkowska № 111.